

MOST NAD CZASEM

KONRAD
BIELSKI



DOM PRZY ULICY ŻŁOTEJ

Stare Miasto w Lublinie jest piękne. Wśród różnych kataklizmów dziejowych, jakich w przeszłości los nam nie szczędził, lubelska starówka szczęśliwie zachowała dużo ze swego odwiecznego kształtu i urody. Mimo licznych pożarów i wojen, dawne mury się ostały. Pełne uroku uliczki i zaułki, fasady sędziwych kamienic, trybunał, kościół Dominikanów — to wszystko czaruje turystów i poetów, bo rdzenni Lublinianie, jak to zwykle bywa, już tego na codzien nie dostrzegają.

Dzisiaj, gdy rany zadane przez bomby hitlerowskie się zabiły, miasto stare pięknie odbudowane oddano do użytku, jako część wielkiego Lublina. Mieszkają tam normalni ludzie, toczy się zwykłe życie. Po przekroczeniu Bramy Krakowskiej znajdujemy się wprawdzie pod urokiem przeszłości, ale poza tym nurt życia nie różni się od innych dzielnic naszego miasta.

Nie tak dawniej bywało. Lublin przedwojenny był ogromnie zróżnicowany.

Centrum miasta dookoła Krakowskiego Przedmieścia zamieszkiwało zamożne mieszczaństwo, ulica Lubartowska wraz z przyległościami stanowiła prawie wyłącznie domenę Żydów, zaś przedmieścia: Kośminek, Bronowice, Kalinowszczyzna i inne, zwano dzielnicami robotniczy-

mi. To były osobne światy, żyjące własnym, odrębnym życiem.

Mieszkaniec śródmieścia rzadko i niechętnie zapuszczał się w dzielnice proletariackie, żydowski drobny kupiec lub rzemieślnik odwiedzał centralne dzielnice tylko w interesie i czym prędzej wracał do swoich. Każda dzielnica miała swoje osobliwości, innych ludzi, inne sklepy, domy i knajpy. Progu „Europy” i „Wiktorii” nigdy nie przekroczył mieszkaniec peryferii, z kolei znów bywalec tych lokali nawet nie zbłądził do tamtych restauracji, które pogardliwie nazywano spelunkami. My, młodzi i ciekawi życia, czasami się tam zapuszczaaliśmy, ale zawsze tej wyprawie towarzyszył pewien dreszczyk i posmak egzotyki. Do dzielnicy żydowskiej chodziło się po zakupy, ale tam się nie mieszkało. W niedzielne południe inni ludzie spacerowali po Krakowskim Przedmieściu, inni po Krochmalnej lub Lubar-towskiej.

W tym tak podzielonym Lublinie Stare Miasto też stanowiło pewnego rodzaju enklawę, a osobliwością jego było to, że w ciągu jednej doby zmieniało kilkakrotnie swój koloryt i charakter.

Za dnia niczym specjalnie nie wyróżniało się. Było tylko bardziej brudne i zaniedbane. Liche sklepiki, zaśmiecone uliczki, ściany przeważnie odrapane, porysowane i naciekłe wilgocią. Ludność uboga, szara — przeważnie żydowska. Różniła się jednak od tej z Lubar-towskiej. Nie kipiała gwarem i życiem dzielnicy handlowej, lubelskiej City. Tu panował spokój i cisza. No i specyficzna woń przegniłych śmietników, bijąca z głębokich bram i nigdy chyba nie sprzątaných podwórek. Trudno było w tych warunkach zachwycać się cudami architektury.

Skoro jednak zapadał mrok, wyłaniało się zupełnie inne miasto. Josziwara — dzielnica miłości.

Na wszystkich rogach ulic, w głębi zaułków i przepastnych bram, pojawiały się tak zwane dziewczynki, by ofiarować siebie i swą miłość przygodnym znajomym. Nigdy porównanie prostytutek z ćmami nie było tak trafne, jak w tym wypadku. Krążyły licznie dokoła gazowych latarni w ich słabym i błękitnym blasku,

z jaskrawo wymalowanymi twarzami, a w ciemnych sukienkach lub płaszczach, to ginące w mroku bram i zaułków, to znowu wypływające w innym miejscu, przy innej latarni, niespokojne, ruchliwe — prawdziwe nocne motyle. Zdarzały się wśród nich młode, ładne dziewczyny i stare wyranżerowane baby.

Wszystkie tam ulice — Szambelańska, Jezuicka, Olejna, Rybna — były usiane mnóstwem maleńkich zamuzików. Mieściły się one w głębokich suterenach — prawie piwnicach i małych pokoikach o niesłychanie grubych ścianach i oknach wąskich jak strzelnice. Zazwyczaj w takim pokoiku stało jeszcze kilka łóżek, przedzielonych tylko kretonową firanką. Klientelę tych lokali stanowili przeważnie żołnierze, studenci, uczniowie, czasem jakiś poważniejszy gość, którego wódka tu przyprowadziła.

Rzadko policja zapuszczała się w staromiejskie zaułki. Bo to i sukces kryminalny niewielki i nadzieje łapówki znikome. Toteż mimo że prawo potępiało oficjalnie ten proceder, rozwijał się on bezpiecznie i spokojnie wśród murów wiekowych domów od zmierzchu do godziny jedenastej. O tej bowiem porze zamykano bramy. Jeszcze jakaś zabłąkana para, jeszcze jakiś spóźniony przechodzień, lecz już około północy wszystko nikło i milkło. Stare Miasto pogrążało się w mroku i ciszy. I znów następowała kolejna metamorfoza.

Nigdy wspaniała uroda tej dzielnicy nie występowała tak wyraziście jak w takie noce. Wszystko, co było szpetne za dnia w kształcie czy zapachu, rozpływało się wtedy jak dym. Zostawało same piękno.

Nikły, błękitny blask latarni gazowych, niespokojna gra długich cieni, zarys bram i wieżyc kościelnych — te wnęki, blanki, fasady, te przepastne głębiny pasaży i zaułków. A dokoła żywej duszy. Krok idącego człowieka odbijał się wielokrotnym echem. A jeśli jeszcze przydarzyła się pełnia:

*Księżyc po stromym dachu toczy się jest nisko
zaczekaj, zaczekaj chwilę
jak perła
wpadnie w rynku lubelskiego miskę
miska zabrzęknie.*

Tak. Tu należałoby bez przerwy cytować Czechowicza, bo przecież jego najpiękniejsze wiersze poświęcone Staremu Lublinowi zrodziły się właśnie w takie noce.

Ileż to razy samotnie i w towarzystwie przyjaciół przemierzał te uliczki i zakamarki w mrokach i urokach nocy. Weszło już u nas w zwyczaj, żeby po wyjściu nocą z knajpy, lub przy jakiejś innej okazji towarzyskiej, pójść na Stare Miasto, pochodzić, podumać lub pogawędzić, a koniecznie spojrzeć na Lublin z górki przy kościele Dominikanów. W tych eskapadach trasa nasza wiodła przez ulicę Żółtą (jest również wiersz Czechowicza pt. „Muzyka ulicy Żółtej”). A na tej ulicy Żółtej pod numerem drugim stoi dom, z którym się łączy dla mnie mnóstwo wspomnień. Na Starym Mieście było sporo domów zamieszkałych przez inteligencję, pozostałość dawnej elity mieszczańskiej. Boć przecież jeszcze przy końcu ubiegłego wieku śródmieście Lublina kończyło się właśnie przy kościele Kapucynów.

Dom na Żółtej był własnością rodziny Arnsztajnow.

Doktor Marek Arnsztajn należał do gatunku tych dziewiętnastowiecznych lekarzy-społeczników, o których już tylko wiemy z książek lub ze wspomnień starych ludzi. Zawód swój — medycynę uważał przede wszystkim za okazję do niesienia pomocy biednym i cierpiącym. Był świetnym lekarzem rozrywany przez chorych, lecz nie było wypadku, by odmówił komukolwiek swej pomocy. Iluż biedaków wspomagał i leczył. Dziś w państwie socjalistycznym, w epoce zorganizowanej należycie i uspołecznionej służby zdrowia, mało kto już zdaje sobie sprawę, czym była taka żywa kasa chorych w postaci znanego lekarza, który odwiedzał bezinteresownie siedliska najskrajniejszej nędzy. Wszędzie niósł pomoc i otuchę. Było wtedy w Lublinie sporo takich lekarzy, dr Marek Arnsztajn siedł wśród nich w pierwszym szeregu. A przy tym serdeczny, towarzyski, zawsze pogodny i uśmiechnięty. Wyglądem zewnętrznym ze swą postawą i sumiastym, siwym wąsem przypominał raczej jakiegoś dziedzica, przynajmniej na stu włókach, a nie lekarza-społecznika.

Dom przy ulicy Żółtej z woli gospodarza był ośrodkiem pracy patriotycznej i niepodległościowej. Ileż tam się

przewinęło ludzi, działaczy i bojowców, ileż się odbyło konspiracyjnych zebrań. Pod domem piwnice, głębokie i rozległe, ciągnące się podobno bardzo daleko, były nie zastąpionym arsenałem. Nikt nie śmiał zapuścić się w te czeluści, gdzie w dodatku podobno straszyla i złe duchy wyprawiały harce. Broń tam schowana była bezpieczna i dostępna tylko dla wtajemniczonych, a raczej zaprzyjęzionych.

Doktor Marek Arnsztajn doczekał się niepodległości. Umarł w roku 1930. Pogrzeb jego stał się olbrzymią manifestacją. Za trumną szedł prezydent miasta, wszyscy dygnitarze wojewódzcy i miejscy, cała inteligencja polska i żydowska oraz niezliczone rzesze pacjentów i podopiecznych. Gdy czoło konduktu dochodziło do nowego cmentarza żydowskiego, tłumy wypełniały po brzegi ulicę Lubartowską i plac Łokietka. Dosłownie całe miasto wyległo, by mu oddać tę ostatnią posługę.

Żona doktora Marka, Franciszka Arnsztajnowa, też zaliczała się do ludzi nieprzeciętych. Pochodziła ze znanej rodziny Meyersonów. Matka jej, Karolina, była powieściopisarką, czynną w połowie ubiegłego wieku. Nie spotkałem się z jej utworami. Zginęły w cieniu Elizy Orzeszkowej i tylu innych świetnych pisarzy tamtych lat. Natomiast brat Arnsztajnowej, Emil Meyerson, należał do czołowych filozofów, współczesnych Bergsonowi. Mieszkał stale w Paryżu i pisał po francusku. Zbieracz i kolekcjoner — posiadał między innymi najbogatszy zbiór sztychów polskich.

W galerii przodków tej rodziny znajdował się podobno słynny lubelski rabin zwany Eiserne-Kopf. Na temat tej postaci różne krążyły legendy. Mówiono, że gdy wyjątkowa zaraza szalała w Lublinie, rabin ten kazał się żywcem pochować, by przebłagać Boga i swą ofiarą ocalić wszystkich mieszkańców, niezależnie od wyznania i narodowości. Czy było tak naprawdę, nie mogłem dokładnie ustalić, lecz pogrzeb żywego człowieka, dokonany uroczystie z zachowaniem wszelkich obrzędów rytuału, ta dobrowolna śmierć, poniesiona dla dobra innych — bardzo mi przemawiała do wyobraźni. Próbowalem nawet to wyzyskać literacko, ale nie znalazłem właściwej formy. Grób rabina, na starym żydowskim

cmentarzu, w cieniu wiekowych drzew, otoczony był zawsze wielką czcią. Nie wolno było doń podejść, a należało wstrzymać się w odległości dziesięciu kroków od miejsca spoczynku.

Śladu już nie ma po tym cmentarzu, grobie i drzewach. Wszystko zniszczyli hitlerowscy wandalę.

Pani Franciszka Arnsztajnowa o tych odległych czasach i tych legendarnych przodkach mówiła z uśmiechem i oceniała to zresztą pod kątem poezji. Ona tkwiła już bez reszty w kulturze i tradycji polskiej. Patriotka, ofiarna bojowniczką o wolność — jak to już poprzednio wspominałem, dom swój i wszelkie siły oddała walce o niepodległość.

Poza tym poetką. Twórczość jej łączy się z okresem Młodej Polski. Debiutowała w r. 1895. Pisała dużo. Kilka tomów poezji. Wiele w czasopismach, również przekłady. Znała wybornie kilka obcych języków. Twórczość jej przeważnie uległa zapomnieniu i jak większość poetów młodopolskich, prócz tych największych, jest już dzisiaj prawie nieczytelna. Jedna jej książka ostała się i często jest wspomiana. To „Stare Kamienie”, zbiór wierszy o Lublinie, napisany łącznie z Józefem Czechowiczem. Połączyło ich umiłowanie rodzinnego miasta. Współpraca z młodym i już wybitnym poetą dała bardzo dobre rezultaty.

Arnsztajnowa była dotknięta kompletną głuchotą. Rozmowa z nią była bardzo trudna, trzeba było posługiwać się pismem. Mimo to, nie chciała zrezygnować z kontaktów literackich i chętnie przyjmowała. Nieraz brałem udział w tych zebraniach, które się odbywały w pięknym mieszkaniu na pierwszym piętrze, pełnym antyków i cennych obrazów.

Córkę swą Stefanię wydała za Jana Mieczysławskiego. Ta postać też dziś niesłusznie zapomniana, godnie uzupełniała rodowe galerie nieprzeciętnych osób. Subtelny esteta, wytrawny znawca poezji francuskiej, zadomowiony był w Paryżu, gdzie przepędził większą część życia. Bywalec lokali, uczęszczanych przez bohemę, serdeczny przyjaciel Moreasa, poeta, tłumacz. Została mi jeszcze taka niewielka księżeczka: Ronsard — „Sze-snaście sonetów miłosnych”. Do Kasandry, do Marii, do

Heleny. Wybrał i przełożył Jan Mieczysławski. Uzdobiła rysunkiem Z. Stryjeńska. Wydał Karol Stryjeński. Mała, ale niezgorsza kompania. (Mieczysławscy mieli dwóch synów — młodszy Krzysztof, utalentowany malarz, zginął pod Kutnem. Starszy Witold, pracował w dyplomacji. Co się z nim stało — nie wiem).

Jednakże najwięcej przeżyć, a co za tym idzie — wspomnień, łączy się dla mnie z drugim piętrzem tego domu. Na drugim piętrze mieszkał syn, młody doktor Jan Arnsztajn, z którym łączyła mnie serdeczna przyjaźń.

Drobny, szczupły, niewielkiego wzrostu, temperament posiadał nie na miarę swego ciała. Gdy go poznałem, miał już za sobą bogatą przeszłość. POW, Legiony, długi pobyt na frontach, ranę lewej ręki, której ruchy na skutek tego miał znacznie ograniczone. Owdowiał. Żona, którą bardzo kochał, zmarła przy porodzie. Córeczkę wychowywali teściowie poza Lublinem. Zajmował drugie piętro w starym domu swych rodziców i praktykował jako lekarz. Był wybitnym fachowcem o dużej klienteli, ale to mu nie potrafiło wypełnić życia. Miał niewyżyte tęsknoty i ogromną skalę zainteresowań. Wszystko robił z pasją.

Klub sportowy „Lublinianka” w dużej mierze swe sukcesy zawdzięczał Arnsztajnowi, który wspomagał go finansowo i masę wolnego czasu poświęcał robocie organizacyjnej. A potem teatr i sprawy społeczne. i życie towarzyskie, i knajpa. Nie stronił od żadnych uciech, jak gdyby przeczuwał swą przedwczesną śmierć. Chciał napić się życia do syta, do zachłyśnięcia.

Oczywiście taki towarzysz był nieoceniony. Chętny do wszystkich zabaw, o każdej porze gotów do startu przy gotówce. A w dodatku rozporządzający obszernym i dobrze urządzonej mieszkaniami. I przez dłuższy czas samotny, niezależny.

Potem się ożenił z aktorką, Janką Pińską, siostrą żony Ryszarda Wasilewskiego, który z Wysocką prowadził teatr. Jednak to małżeństwo nie zmieniło w niczym jego trybu życia. Żona okazała się godnym towarzyszem zarówno męża, jak i kompanii. Rodzice Janka i niektórzy znajomi mieli jej za złe, że nie ma dobrego wpływu

na męża i nie potrafi go powstrzymać od niezliczonych szaleństw. Rzeczywiście nie potrafiła, czy też nie chciała. Zapłaciła za to najwyższą ceną — życiem.

Janek Arnsztajn miał ładną i wyrozumiałą żonę, świetną praktykę lekarską, a co za tym idzie pieniądze, zacnych i kochających rodziców, wygodne mieszkanie, samochód, mistrzostwo w tenisie, mnóstwo przyjaciół i wielką popularność — lecz to wszystko mu nie wystarczało. Marzeniem jego ukrytym była kariera literacka, a właściwie poezja. Syn znanej poetki, w której domu tyle się mówiło o poezji i tylu bywało poetów, ze swoich tęsknot nie zdradził się nawet przed matką. Pisał wiersze w absolutnej tajemnicy. Jeśli przynosił czasami jakiś swój płód, który w skrytości ducha uważał za specjalnie udany, do oceny matce, to zawsze tłumaczył, że to właśnie któryś z jego znajomych jest autorem.

Razu pewnego w niedzielne popołudnie, zesłaliśmy się w większym gronie w kawiarni. Był, o ile sobie przypominam, Czechowicz, Gralewski, Grędziński, a więc „Reflektor” in corpore, i jeszcze paru innych. Gwarnie było i wesoło, jak to zwykle przy naszym stoliku. Przysiadł się do nas Arnsztajn z numerem dziennika „Ziemia Lubelska”, aby nam zwrócić uwagę na interesujący, jego zdaniem, wiersz, który tam się ukazał w dodatku literackim. Nie przypominam sobie ani tytułu, ani treści tego wiersza, ot taki ani lepszy, ani gorszy od tych, które drukowano w prasie codziennej, i nie wiem dlaczego poddałem go ostrej i bardzo złośliwej krytyce. Każde zdanie, każdy zwrot i metaforę wykpiłem, wywołując na dodatek szczerą wesołość i śmiech wśród towarzyszy.

Janek posiedział z nami jeszcze trochę, pożegnał się i wyszedł.

Znacznie, znacznie później, w czasie nocnej biesiady, przy którymś tam kieliszku, gdy nadszedł czas zwierzeń, wypowiadał się ze swoich tęsknot i marzeń. Powiedział mi wtedy, że to on chytrze po umieszczeniu pod pseudonimem swego wiersza w gazecie chciał sprowokować naszą ocenę i wierzył, że będzie przychylna i że właśnie ta moja bezlitosna krytyka oraz reakcja kolegów

takie na nim zrobiły wrażenie, że po powrocie do domu spalił wszystkie swoje płody i nie tylko przestał pisać, ale nawet myśleć o poezji. I że to jest wyłącznie moją zasługą, czy też winą.

Popłakaliśmy się obaj, czy to z żalu nad zwichniętą karierą poetycką, czy też z racji przekroczenia normy w spożyciu „pocieszycielki”, ale na tym się nie skończyło. Temperament pisarski Arnsztajna szukał sobie ujścia i znalazł je w innym rodzaju twórczości literackiej. Z tych łez i alkoholu urodził się pomysł napisania wspólnej lubelskiej szopki politycznej.

W dziedzinie satyry i lekkiej piosenki Arnsztajn okazał się majstrem nie byle jakim. Umiał patrzeć satyrycznie, a przy tym był dowcipny i muzykalny.

O ile oczywiście przyczyniłem się do unicestwienia jego marzeń o poezji, to z kolei pomogłem mu walnie do wyzycia się literackiego na innym polu. Napisaliśmy razem trzy szopki, które były wystawione w Lublinie i cieszyły się ogromnym powodzeniem. Jedna z nich ukażała się drukiem.

Zarówno wspólne pisanie, jak i dalsze z tym związane przygody — to była pyszna zabawa. Brali w niej udział nasi bliźsi i dalsi współpracownicy, jak i siłą rzeczy ci wszyscy, którzy stanowili cel dla naszych jadowitych strzał.

Te trzy szopki są jednocześnie przeglądem lubelskiego światka politycznego tamtych lat, dlatego uważam, że warto je przypomnieć.

POWSTAJE PIERWSZA SZOPKA LUBELSKA

Kto wpadł pierwszy na pomysł, by kukielki tradycyjnych szopek — anioła, diabła, śmierci, heroda itp. zastąpić figurkami przedstawiającymi karykatury żywych ludzi i kazał im śpiewać zamiast znanych od lat piosenek, satyryczne teksty. Nie wiem dokładnie, przypuszczam jednak, że twórcy słynnych szopek „Zielonego Balonika” z Boyem-Żeleńskim na czele. Ten nowy rodzaj

satyrycznego widowiska przyjął się i osiągnął z czasem duże powodzenie. W Krakowie wystawiano je wiele lat, ku niezmiernej ucieście widzów. Dziś jeszcze można podziwiać szereg znakomitych lalek w szklanej gablocie dawnej kawiarni Michalika.

Te muzealne eksponaty łącznie z fragmentami tekstów zamieszczonymi w „Słówkach” — to właściwie wszystko, co z tych czasów pozostało. Taki zazwyczaj koniec bywa twórczości tego rodzaju. Związana z żywymi problemami dnia bieżącego i działaniem konkretnych osób, z upływem czasu wyjątkowo prędko wietrzeje i traci pierwotny blask. To, co budziło niegdyś spontaniczne wybuchy śmiechu, dla przyszłego widza często jest zupełnie niezrozumiałe lub wymaga obszernych wyjaśnień. Dlatego też i ja, przypominając nasze szopki lubelskie, muszę je osadzić w odpowiednio rozbudowanym komentarzu.

Zaraz po pierwszej wojnie kilku poetów ze „Skamandra” napisało szopkę, tzw. „Pikadora”, którą nie tylko pokazali w Warszawie, ale również objeźdzali z nią większe miasta Polski. Byłem na tym przedstawieniu właśnie w Lublinie i wywarło ono na mnie niemałe wrażenie. Zapamiętałem na długo te piosenki, monologi i powiedzonka, ośmieszające w sposób złośliwy lecz niebywale dowcipny, najznamienitsze wówczas polityczne figury.

Później już, Władek Daszewski z entuzjazmem opowiadał nam o świetnych szopkach Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Cytował mnóstwo tekstów i przytaczał ciekawe szczegóły związane z lepieniem lalek, z podkładaniem pod słowa piosenek.

Tak więc, gdy z Arnsztajnem umyśliliśmy napisać szopkę lubelską, ten rodzaj satyry nie był dla nas obcy. Wzory, i to dobre, były. Należało je tylko przenieść na grunt lubelski i nasycić dostatecznie naszą własną specyfiką.

Dwa warunki są niezbędne dla powodzenia tego rodzaju imprezy: dowcipny tekst na melodię, popularnych i łatwo wpadających w ucho piosenek oraz pomyślowe kukiełki — karykatury, koniecznie jednak podobne do swych pierwowzorów. Publiczność nie powinna

W parę lat później Arnsztajn umarł na gruźlicę. On, który tak dobrze znał tę chorobę, który tyle ludzi z niej leczył i który się tak bardzo jej obawiał. Nie dało się go już uratować. Nie było jeszcze wtedy antybiotyków, remifonu i innych skutecznych leków. Pochowany został na cmentarzu wojskowym w Warszawie.

Na tym samym cmentarzu, na świeżym jeszcze grobie zastrzeliła się jego żona. Była mu wierną towarzyszką w tym bujnym i trochę zwariowanym życiu — nie potrafiła zostać sama.

Opustoszał dom na Złotej, bo i Franciszka Arnsztajnowa przeniosła się do Warszawy. Zamieszkała z córką Stefanią Mieczysławską. Na swe nieszczęście doczekała się wojny, bombardowań i czasów pogardy. Ta stara, głucha, nieszczęśliwa, a tak zasłużona kobieta, poetka polska, poniosła śmierć męczeńską i nikt nie wie, gdzie spoczywają jej prochy.

Rzadko chodzę teraz na Stare Miasto w Lublinie. Ale gdy już tam jestem, zawsze zatrzymuję się na ulicy Złotej przy domu oznaczonym numerem drugim. Jest o czym podumać.

Kończę na razie ten fragment moich wspomnień lubelskich. Pisałem je na wyraźne zamówienie nie tylko Wydawnictwa Lubelskiego, lecz i bardzo wielu osób. Od dłuższego czasu każda pogawędka o minionych latach, każde opowiadanie o nie tak dawnych, a przecież już mrokiem niepamięci przesłoniętych frągmentach życia Lublina — kończyło się zawsze nieodzownym pytaniem: dlaczego pan tego nie napisze? W końcu ja sam sobie zacząłem już zadawać identyczne pytanie: dlaczego nie napisać? No, a wtedy już dojrzało do spełnienia.

Po zakończeniu wojny formalnie zaroilo się na półkach księgarskich od rozmaitego rodzaju wspomnień. Na razie tematem były lata okupacji i walk z faszystowskim wrogiem. Później jednak zaczęły się ukazywać księgi wspomnień z lat dawniejszych. Dwudziestolecie międzywojenne też doczekało się bogatej literatury wspomnieniowej. Wszystko to jednak dotyczyło w pierwszym rzędzie Warszawy, mniej już Krakowa i paru innych miast. O Lublinie tamtych czasów nikt nie napisał. A przecież było tu też ciekawe życie i interesujący ludzie, wybitni działacze polityczni, społeczni i kulturalni, nieprzeciętni poeci i utalentowani aktorzy, środowiska twórcze, pisma literackie, skupiska ludzi nauce oddanych, ciekawe poczynania wydawnicze.

Ale o tym wszystkim już dziś mało kto wie. A niezadługo, gdy odejdą ci, co jeszcze pamiętają, wszystko utonie w absolutnym zapomnieniu. Dlatego też podjąłem ten trud, by coś niecoś z tamtych czasów ocalić.